Juliusz Zdanowski

Lublin, 1918

Juliusz Zdanowski
(1874-1937) - ziemianin, społecznik. Wychowanek krakowskiego gimnazjum Sobieskiego; studiował prawo oraz nauki państwowe we Fryburgu, Lwowie i Monachium, potem (1898-99) pracował w Musée Social w Paryżu. - Od 1899 gospodarował w odziedziczonym po swym ojcu majątku Smiłowice w Królestwie. W 1905 brał udział w tzw. ruchu spolszczenia gmin. W 1910 został prezesem kółek rolniczych ziemi kieleckiej, w 1912 - członkiem Komitetu Centralnego Towarzystwa Rolniczego, w 1915 - prezesem Komitetu Ratunkowego Ziemi Kieleckiej, w 1917 - prezesem Rady Krajowej Gospodarczej na okupację austriacką, następnie prezesem Głównego Komitetu Ratunkowego. W lecie 1918 przyjął przedstawicielstwo rządu polskiego przy generalnym gubernatorstwie lubelskim, w październiku zaś został generalnym komisarzem rządu polskiego w Lublinie. Podał się do dymisji 6.11.1918 w związku z wydarzeniami niżej opisanymi. Od marca 1919 był komisarzem w Głównym Urzędzie Likwidacyjnym. Potem od stanowisk państwowych wolał pracę -w organizacjach społecznych, samorządowych. Był wybitnym senatorem.
Dziennik, który prowadził, znajduje się dziś w oryginale w Ossolineum we Wrocławiu; istnieje w kilku egzemplarzach odpis, sporządzony przez Józefa Zielińskiego. Drukujemy fragmenty odnoszące się do listopada 1918 (rkp. Oss. 14023*).

W Lublinie (dziennik rządowego komisarza)

Ogłoszenie rządu austriackiego i niemieckiego o zawieszeniu oddania władzy w Królestwie rządowi polskiemu nastąpiło dla nas dosyć niespodziewanie. Niemcy traktowały swoją odpowiedź prawdopodobnie znowu jako manewr przedłużający im stan kompromisu z pewną chociaż częścią społeczeństwa w Królestwie. Austria poszła o krok dalej, rachując zapewne na to, żeby wśród trzeszczących swych podstaw zabezpieczyć sobie pewne względy już nie tylko okupowanego kraju, ale i polskich posłów galicyjskich.

Koło Międzypartyjne przez różnolity swój skład i wieczne formalizowanie nie zdobyło się dość prędko na odpowiednio mocną odezwę. Pozwoliło się ubiec znowu Radzie Regencyjnej, która za sprytną poradą Janusza Radziwiłła aktem swoim z 7.X. postarała się wziąć w rękę inicjatywą wypadków. Krokiem tym wprawdzie ocaliła się Rada Regencyjna na czas pewien w opinii, nie przysłużyła się atoli sprawie polskiej. Pozostawanie na czele konserwatywnej części społeczeństwa Rady Regencyjnej, której program polityczny bankrutował, było wciąganiem w bankructwo tych właśnie żywiołów. Pozostawało teraz do wyboru albo stanąć przy Radzie, broniąc społecznie umiarkowanego kierunku, albo iść dalej na przeciwstawianie się ze świadomością, że się jest już w ogonie lewicy, która w Radzie Regencyjnej już nie tylko polityczny, ale i społeczny cel ataków widziała.

Bądź co bądź szczególniej poza granicami okupacji niemieckiej na podstawie manifestu Rady Regencyjnej z 7.X. można było skonsolidowanie przy niej opinii przeprowadzić.

Zebranie trój dzielnicowe, któreśmy mieli w Lublinie 15 października, zorientowało się już w tym, czym może być przejmowanie rządu w kraju, że może być rozmaicie rozumiane jako lokalne działanie dowolne samorządów powiatowych. Chodziło o to, żeby tego rodzaju czynników nie wprowadzać. Uchwały szły w kierunku uznania rządu, jakimkolwiek on będzie, jako jedynego uprawnionego do przyjmowania władzy faktora. Z trudności tworzenia rady narodowej przy ogromnej ilości stronnictw - zdawaliśmy sobie sprawę. Konsekwencją tego musiało być poparcie Rady Regencyjnej przy tworzeniu rządu, wzięcie w tym rządzie udziału i przyspieszenie jego utworzenia.

Kiedy jednak znaleźliśmy się ze Skarbkiem, Kasznicą i innymi w Warszawie (16.X.), zastaliśmy tam już znowu przez Koło spłodzoną odezwę występującą przeciw Radzie Regencyjnej. Pomost więc do utworzenia rządu, który się bezsprzecznie Kołu należał, był zerwany i utworzenie to zaczęło się przeciągać. W dodatku niefortunna myśl skasowania Rady Stanu zrobiona właśnie dla przeciwstawienia jej większości, tj. Kołu, zawiesiła wszelki rząd w kraju w powietrzu, bo bez legalnego kontaktu z opinią publiczną, choćby nawet tylko częściową.

Tymczasem w okupacji austriackiej sprawa ingerencji w sprawy zarządu krajem stawała się coraz pilniejszą. Żywioły do Koła zbliżone były sparaliżowane w swej akcji z powodu swego niewyraźnego stanowiska w sprawie obejmowania rządu. Jedna lewica organizowała się. Kilka napadów POW na kasy wojskowe dodało jej otuchy. 16.X. na skutek wieców i deputacji generał-gubernator zniósł rekwizycje. Wywołało to niesłychany zachwyt a zarazem niesłychane zamieszanie w życiu gospodarczym, bo chcąc dalej wywozić, udzielono setki pozwoleń na wolny zakup i wywóz z kraju.

Widząc tworzącą się anarchię, nie mając żadnych dyrektyw z góry, wystąpiłem z szeregiem żądań do generał-gubernatora i 20-go otrzymałem prawo delegowania komisarzy do wydziału gospodarczego i kontroli nad wywozem. Kiedy utworzenie rządu przewlekało się, udałem się 20.X. do Warszawy. Rada Regencyjna dalej zwlekała wobec ludzi, do których nie miała zaufania, i 22.X. wracałem do Lublina z Minkiewiczem w przekonaniu, że się nic zrobić nie da. Czas od 7 do 22.X. został haniebnie zmarnowany. Sytuacja wymagała pchnięcia z martwego punktu. Roiły się projekty zrobienia jakiejś wielkiej manifestacji czy nawet konfederacji ze zjazdu sejmików, który był naznaczony do Lublina na 23.X.

W chwili po powrocie z Warszawy dowiedziałem się, że wreszcie rząd został utworzony przez Świeżyńskiego. Wielkim (jednak) jego brakiem było, że lewica, która zdążyła już zliczyć swoje siły, do rządu tego wejść nie chciała.

Zjazd sejmików odbył się w Lublinie 23.X. Liczny, ale bez udziału głosów ze stronnictwa ludowego, co mi dało do myślenia, i przy małej frekwencji włościan, których ściąganie na zjazd nie dosyć do serca sobie sejmiki brały. Uchwały, które na zjeździe przeprowadziłem, stwarzały pewne dyrektywy co do przejmowania władzy. Zjazd jednak miał charakter bardzo trzeźwy i letni. Ludzie nasi, działacze społeczni, za mało wiedzieli, co się w powiatach dzieje.

Bezpośrednio po zjeździe uzyskałem dalsze ustępstwa od gubernatora, tj. prawo wglądu i do administracji. Rozpoczęły się teraz dalsze pertraktacje o przejmowanie władzy. Widząc, co się dzieje z nienawiścią do żandarmerii, dawniej jeszcze chciałem zapewnić jej usunięcie i wydawanie broni dla milicji przy sejmikach tworzonej, która by się mogła stać ostoją przyszłej władzy. Teraz dopiero zaczął się gubernator przechylać do tej myśli, ale już było za późno. Odbyłem konferencję w sprawach gospodarczych, ale gubernia stawiała szereg trudnych warunków co do kontyngentów, które by trzeba do monarchii dostarczyć. Nadto zaczęto uzależniać dalsze ustępstwa od natychmiastowej odezwy rządu polskiego, nakłaniającej ludność do odstawy kartofli, która naraz została przerwana. Gwałtowne wykupywanie środków spożywczych w wolnym handlu po coraz wyższych cenach stawało się łatwym środkiem agitacyjnym i organizacyjnym dla Polskiej Organizacji Wojskowej. Sprawa się zaostrzała. Układy zaś, między Austrią a rządem warszawskim prowadzone, zostały przez rząd wiedeński przerwane, gdy nastąpiła zmiana gabinetu wysuwająca Głąbińskiego jako ministra spraw zagranicznych. Rozpoczęcie przejmowania zarządu krajem zapowiedziano oficjalnie najwcześniej na 15.XI, a raczej na l grudnia.

Naraz 24.X. otrzymałem wiadomość z różnych stron, bo i ze sfer POW, i ze sfer organizacji oficerów polskich oraz ze sfer Piłsudczyków „z Wehrmachtu", że przygotowuje się na najbliższe dni (liczono na 1.XI.) zamach czynny na władze austriackie. Projektowano dokonanie w jednym dniu rozbrojenia wojsk na całym terytorium okupacji.

Mimo że wojska były rozlokowane w wielu miejscowościach, co sytuację utrudniało, że statystyka wskazywała, iż zaledwie 1/3 wojska austriackiego była narodowości polskiej i była w ogromnym przemieszaniu z innymi narodowościami, nie dało się tym ludziom wytłumaczyć, aby od planu swego się powstrzymali. Jako inicjatorów wymieniono właśnie „bezpartyjnych" oficerów z Werle. Jestem jednak przekonany, że zamach zrodził się w bardziej partyjnych sferach. Pokrywano to przede mną argumentem, że natychmiast po zamachu organizatorzy oddadzą żywiołom umiarkowanym, tj. obecnemu rządowi, całą władzę, o którą im bynajmniej nie chodzi.

Postanowienie było tak zdecydowane, koła niby je przeprowadzić mające tak niezachwiane, dotarcie do kół bardziej wtajemniczonych niemożliwe, że trzeba się było z tym wszystkim rachować jako z faktem dokonać się mającym. Trzeba było też czym pilniej przygotować cały aparat, który by władzę mógł przejąć. Warszawa rozkładała to na parę tygodni.

Chodziło o nacisk na gubernatorstwo, aby otrzymać natychmiast pewne konkretne ustępstwa, które by wytrąciły drogę gwałtu u „sprzysiężonych" i wzięcie inicjatywy przez rząd. Sprawa wymagała pośpiechu, bo już lewica ściągała wszystkie swoje siły fizyczne i intelektualne na grunt okupacji austriackiej. Co godzina otrzymywałem nowe potwierdzenia tych faktów. 26.X. udałem się do Warszawy i tego samego dnia przedstawiłem na Radzie Ministrów plan działania.

Zażądałem dla siebie zupełnej plenipotencji w pertraktacjach z władzami austriackimi, przydzielenia sobie całego sztabu delegatów poszczególnych ministeriów, natychmiastowego przysłania mi jako niezbędnej dla przejmowania władzy egzekutywy przynajmniej 600 wojska

legionowego. Wreszcie ułożony został telegram do Naczelnej Komendy armii austriackiej, żądający natychmiastowego oddania żołnierzy narodowości polskiej państwu polskiemu, tak stojącego w okupacji, jak i w Galicji. W Warszawie panował jeszcze tak bardzo kwietyzm spod buta niemieckiego, że informacje przeze mnie przywiezione brzmiały jakby z innego świata. Żądałem jeszcze dodatkowo natychmiastowego dekretu o przekazaniu władzy nadzorczej nad samorządami komisarzom rządu polskiego i ustanowienia tych komisarzy, nadto dekretu wprowadzającego rady gminne oparte o demokratyczne wybory.

29.X. wróciłem do Lublina. Zastałem tu sytuację już tak zmienioną, że wydanie zamierzonej odezwy o kartofle było już zupełnie niemożliwe. 30.X. zaproponowano mi w gubernatorstwie utworzenie mieszanej komisji likwidacyjnej dla spraw gospodarczych. Odrzuciłem tę propozycję wskazując, że tu już może być mowa tylko o 2 komisjach, które będą się porozumiewać. Odbyłem długą naradę z całym sztabem zarządu gubernialnego, który stanął na stanowisku wolnego wywozu całej swojej wojskowej i zakupionej własności. Czując przygotowania do bliskiego wybuchu, zażądałem stosownego prawa veta dla siebie i wszystkich moich delegatów przy wszelkich rozporządzeniach gubernatorstwa. Gubernator jeszcze odmówił. Ustąpił dopiero 31.X. i tego dnia dopiero zgodził się na moje restrykcje co do wywozu. Ale już znowu było za późno. Nie mogłem całej ludności przed 1-szym o tych faktach powiadomić. Zapowiedzeni delegaci z ministeriów, mimo ciągłego telefonowania, nie przyjeżdżali. Wojska jak nie było, tak nie było.

Dopiero 1.XI. rano zjawił się u mnie podpułkownik Pasławski, i to przyjechał rozglądać się za kwaterami.

Tymczasem 31.X. wpadł do mnie podpułkownik Norwid-Neugebauer i delegaci 56 p.p. z tym, że oni samorzutnie urządzą 1-go „zerwanie bączków".

Czując nastroje okupacji i widząc wpływy dawnych legionowych oficerów, domagałem się w czasie pobytu w Warszawie od Rozwadowskiego uwzględnienia ich koniecznie przy nominacjach, dania im kilku awansów i wyznaczenia do Lublina Roji lub Śmigłego. Na tym punkcie jednak był Rozwadowski nie do przekonania. Zgodził się kompromisowo na gen. Olszewskiego, rekomendowanego mi przez Załuskę, dla którego na szefa sztabu chciałem mieć Norwida. Zażegnałem też niebezpieczeństwo, które widziałem w zamierzonym przysłaniu Januszajtisa na czele pułku, który miano tutaj przysłać; był on kamieniem obrazy dla tych wszystkich ludzi, z którymi w okupacji austriackiej współpracować się musiało.

Licząc na te pewne ustępstwa od Rozwadowskiego uzyskane, byłem niemało zdziwiony, gdy l.XI. zjawił się u mnie Pasławski, właśnie jako przyszły szef sztabu, gdy ja oczekiwałem, że na to miejsce będzie Norwid powołany. W godzinę-po rozstaniu się z Pasławskim odebrałem ów pamiętny i niesłychany telegram nakazujący nazajutrz zaprzysiężenie Polaków z wojska austriackiego. Wprawdzie poprzedniego dnia upoważniał do tego manifest cesarza Karola, rozkaz był jednak tak niespodziewany, że trudno było się co do niego zorientować. Rozkaz przyszedł do mnie via gubernia. Musiałem więc szczegóły jego omówić z Lipowszczakiem, który ku memu

zdumieniu przyjął go jako rozkaz wyższej władzy do wykonania. Tak jednak nie doceniał sytuacji, że gdy zażądałem natychmiastowego oddania całej władzy i skasowania gubernatorstwa, to jeszcze o tym ani słyszeć nie chciał, twierdząc, że władzę od cesarza otrzymaną tylko na jego rozkaz może zwrócić. Zaś połączenia z AOK nie ma. Szczególniej jednak na gruncie Lublina Polacy byli rozdzieleni po obcych pułkach w tak małych ilościach, tak żadne stosunki nie łączyły oficera z żołnierzami (oficerowie byli przeważnie referentami różnych biur), że kiedy zwołałem naradę oficerów dla porozumienia się, to wprost nie wiadomo było, z kim mówić i jak się do tej akcji zabierać. Przy tym okazało się, że z wyższych oficerów płk. Załuski nie mówi po polsku i przyszedł ostrzec, że jego usunięcie się rozprzęże cały jego pułk składający się z Rusinów. Mjr. Sienkiewicz z 13 p. ułanów przyszedł z takimże samym tłumaczeniem. Rozkaz Rozwadowskiego (stając się doskonałym piorunochronem od zapowiadanych wypadków) stawiał sprawę zupełnie absurdalnie, każąc najstarszemu rangą oficerowi stanąć na czele wyłączonych z różnych formacji Polaków. Okazało się, że rozluźnienie dyscypliny w formacjach robi z wojska stado, które utrzymać mógłby jakiś wyjątkowo dzielny człowiek, ale którego nie utrzyma jakiś starszy wysłużony, zawsze w Austrię wpatrzony, rutynista. Egzemplarze starszych oficerów, między którymi wybierać wypadało, były fatalne. Załuski i Sienkiewicz okazali się niemożliwi. Zatrzymaliśmy się na podpułkowniku Niesiołowskim, który był tak przerażony, że czym prędzej z niego zrezygnowałem. Wynaleźliśmy wreszcie płk. Filousa - pożal się Boże!

W chwilach prawdziwie rewolucyjnego nastroju, rozsypywania się w puch i proch całego gmachu organizacji wojskowej, administracyjnej i gospodarczej kraju, musiał się pomścić tego rodzaju system postępowania. Zamiast twardej ręki i rozkazu - bezradność i zupełne stracenie głowy.

Do chwili rozsegregowania i przysięgi, póki jeszcze dawny komendant każdym żołnierzem dowodził, odbyło się wszystko mniej więcej składnie. Z takim jednak trzaskiem łamały się wszelkie wiązania generalskiej psychologii, że gubernator zaraz wyczuł sytuację i - czemu jeszcze wczoraj kategorycznie się sprzeciwiał - dziś od razu zapowiedział, że jutro oddaje mi zarząd kraju. W ten sposób sens jakiegokolwiek zamachu na Austriaków planowanego przez lewicę stawał się bezprzedmiotowym. Przy chmurnym, dżdżystym listopadowym popołudniu, w sam dzień zaduszny, odbyła się uroczystość przysięgi na placu katedralnym wśród wielotysięcznego wołającego tłumu. Wołano: „niech żyje Polska, żołnierz polski, Rada Regencyjna”. Jeden tylko pojedynczy, nie powtórzony okrzyk wywołał Piłsudskiego. Mówiło nas trzech. Ale już w godzinę potem, gdym się znalazł w głównej kwaterze, ogarnęło mnie rozczarowanie. Bezgłowie zupełne, tłum oficerów bez żadnej organizacji. Wiadomości zewsząd, że tu i ówdzie rozpoczyna się rabunek składów i nigdzie ani jednego żołnierza do użycia na posterunek lub wartę. POW nie stanęła do pomocy. Dowborczyków zaledwie kilkudziesięciu, zaprzysiężeni żołnierze znikali jak kamfora, a jedynym oparciem świeżo zorganizowana straż bezpieczeństwa publicznego, złożona naprędce z nie wiadomo kogo, z dobraniem do pomocy młodzieży szkolnej od lat 15.

Równocześnie przerażające wieści zaczęły nadchodzić z koszar zachodnich, gdzie pułki

rusińskie wypowiedziały posłuszeństwo oficerom i oświadczyły przy tym, że odchodzą, a że przy tym rozebrały cały swój magazyn amunicyjny z 40 karabinami maszynowymi włącznie, więc postrach zaczął się szerzyć po mieście. Delegacja oficerów Rusinów z 58 p.p. z płk. Załuskim, niby Polakiem, na czele była wprost przerażona, że ludzi w karności utrzymać nie potrafi. Ostatecznie postawiła za warunek spokojnego rozejścia się wypłacenie pułkowi liczącemu 2.300 ludzi - 200.000 koron. To pomogło i Rusini zaczęli wyruszać zostawiając całą swoją broń i sprzęty. Nie było jednak komu jej odbierać i 3.XI. rano, kiedy to się działo, tłumy rozmaitej ludności miejskiej wracały spod koszar objuczone rynsztunkiem wojskowym i bronią, która już teraz w ręce zupełnie nieobliczalne się dostawała. Austriacy zaczęli tłumnie opuszczać wszelkie swoje stanowiska. Sprawą najważniejszą było utrzymać ruch kolejowy i telefoniczny. Jeden i drugi był dotąd wyłącznie obsługiwany przez obcych. Zapowiedzianych delegatów z Warszawy nie miałem. Wezwałem natychmiast najstarszego urzędnika polskiego na poczcie, Urbańskiego, którego znałem, i mianowałem go dyrektorem poczty. Urządzenie ruchu kolejowego na obszarze gub. lubelskiej powierzyłem przewodniczącemu stowarzyszenia kolejarzy reemigrantów, Górskiemu. Zatelefonowałem do Radomia do mianowanego przeze mnie komisarza powiatowego Słomińskiego, aby tam potrzebne wydał zarządzenia. Panowie ci spisali się dzielnie. Ani na chwilę nie nastąpiła przerwa w komunikacji, mimo niesłychanych ilości jadących wojsk i powracających jeńców rosyjskich.

Dopiero 5.XI. zjawił się przybywający z Warszawy na dyrektora inż. Mrozowski. 3-go rano w wielkiej sali Pałacu Radziwiłłowskiego odebrałem władzę od żegnającego się czule generał-gubernatora oraz przysięgę od tłumu urzędników-Polaków, do których wygłosiłem przemówienie. Zamęt, jaki panował przez 3., 4. i 5-go, był nie do opisania. Dziesiątki telegramów, różne drobne sprawy osobiste, ważne zagadnienia z dziedziny wszelkich działów administracji - kotłowały się. Obejmowanie biur, zamęt ze sztabem, który w niczym się nie orientował, były nie do opisania. Na wszystkie strony wołano o siły fachowe, o posterunki, o warty. Wszędzie ludzi brakowało. Warty odbywała młodzież, którą przetrzymywano przez 36 godzin bez jedzenia. Cały rozkład zajęć, jedynie celowe zarządzenia podejmowane były przez 3 niższych oficerów utrzymujących od dawna pewną więź między austriackimi Polakami, a to Sasorskiego, Sosabowskiego i Szurleja. Chłopaki te jednak od 48 godzin już nie spały i kończyły się. Rozgardiasz, jaki widać było w głównej kwaterze, panować musiał i na prowincji. Słychać go było z ciągle dźwięczącego telefonu. Ze wszystkich stron dochodziły wieści, że POW wzięła w ręce całą inicjatywę w powiatach i że bez porozumienia się z nią próżno myśleć o utrzymaniu ładu i rządu. Władzę obejmować można tylko przy odpowiedniej sile fizycznej i pomocy karabinów. Porządek państwowy jest bądź co bądź związkiem przymusowym.

Wśród tego zjawia się u mnie Franciszek Skąpski. Człowiek myszkujący od dawna między lewicą a Radą Regencyjną. Opowiada mi o przygotowującym się tu zamachu stanu, o trwających w permanencji naradach lewicowego sztabu, który jeszcze na 1.XI. tu zjechał, o konieczności wejścia w porozumienie z komendantem POW Śmigłym-Rydzem, którego ma nadzieję odciągnąć od

lewicowych kompanionów. O 4-tej przyszedł do mnie Śmigły i w cztery oczy miałem z nim dłuższą rozmowę. Zaręczał, że nie jest wcale partyjnie związany. Oświadczył gotowość złożenia przysięgi na Radę Regencyjną i pracowania ze mną ręka w rękę pod warunkiem, że otrzyma naczelną komendę na okupację austriacką, że w takim razie skłoni całe POW do złożenia przysięgi i wejścia w skład armii, ręczy (wreszcie) słowem honoru, że partyjne względy nie będą kierowały nominacjami w wojsku. Ponieważ miałem plenipotencję tylko co do administracji cywilnej, prosiłem go o wstrzymanie decyzji do następnego dnia po południu. Miałem bowiem zapowiedź przyjazdu Rozwadowskiego. Śmigły dał mi rękę na to, że do 6-ej następnego dnia poczeka, zaręczał też, że POW razem z nim przysięgę złoży.

Mówił nadto, że już miał z Lublina wyjeżdżać, ale że Skąpski przedstawił mu ważność sprawy, więc się stawia. Udało mi się natychmiast uzyskać połączenie telefoniczne z Rozwadowskim, który na pierwsze słowa o nazwisku Śmigłego zaczął od „je brulerai la cervelle a ce monsieur". Kiedy mu jednak przedstawiłem sytuację i zapowiedź przysięgi ze strony całej organizacji i jej przywódcy, oświadczył mi, że upoważnia mnie do oświadczenia Śmigłemu, że jeżeli przysięgę złoży, to zapewnia mu „najwyższe stanowisko wojskowe, jakie ma do dyspozycji", że nazajutrz po południu przyjedzie i rzecz formalnie załatwi.

Tymczasem o 7-ej niespodziewanie zjawił się Śmigły po raz drugi i zażądał natychmiast mojej decyzji. Uważał, że dla bezpieczeństwa przed anarchią jego nominacja jest konieczna i że sytuacja wymaga, aby już dziś wieczorem był związany. Ponieważ poprzednio żądałem wyraźnie zaprzysiężenia nie tylko jego samego, ale i POW, a to nie mogło natychmiast nastąpić, i ponieważ ze strony Rozwadowskiego nie miałem prawa zrobić nic więcej, jak dać mu obietnicę stanowiska (a przy tym miałem wątpliwości, co Rozwadowski przez „najwyższe" stanowisko rozumie), zawahałem się i poprosiłem go o dwie godziny dla namysłu i dalszego skomunikowania się z Warszawą. Kilkanaście osób czekało na rezultat naszej rozmowy. Gdy Śmigły wyszedł, odbyłem naradę z Bron. Fudakowskim, Zygmuntem Seydą. i Stanisławem Śliwińskim, którzy mi wszyscy oświadczyli, że nie wolno mi kompromisu odrzucać. Szczęściem dla strony formalnej sprawy, jeszcze o 8-ej uzyskałem rozmowę ze Świeżyńskim, który mnie imieniem rządu upoważnił do zapewnienia Śmigłego o tym, że rząd uzyska jego nominację. Posłałem po Śmigłego. Na moje skrupuły, że w tej chwili tylko od niego odbierać mogę przysięgę, a nie od organizacji, zapewnił mnie, że nazajutrz rano organizacja przysięgę złoży. O 8.30 w biurze moim, tj. w sali KKG, Rydz złożył przysięgę według formuły przepisanej przez Radę Regencyjną. Wyszedł z tym, że miał zaraz wydać zapowiedziane zarządzenia co do przysięgi i zorganizowania obrony kresów. Ja podpisałem mu upoważnienie do pełnienia czynności głównego komendanta .okupacji austriackiej.

Tymczasem nazajutrz zapowiedziany akces POW nie nastąpił. 4.XI. otrzymuję telefon z biur Rady Regencyjnej od inż. Sokala, który prosi mnie o natychmiastowe wezwanie imieniem Komisji Porozumiewawczej Stronnictw Niepodległościowych - Śmigłego i bawiących przy nim w Lublinie jego towarzyszów. Dziwnym mi się to wydało. W godzinę potem koło 3-ej odbieram telegram od Świeżyńskiego zawierający odezwę rządu z datą wczorajszą i polecający jej rozgłoszenie.

Oniemieliśmy wszyscy. Odezwa tchnęła zamachem na Radę Regencyjną i utrzymana była w tonie rynkowej demagogii. Żadnego do niej objaśnienia. Data wczorajsza, a wszak jeszcze wieczorem mówiłem ze Świeżyńskim, on zaś nic o niej nie wspominał. Na razie w związku z poprzednim telefonem i ja. i moi najbliżsi byliśmy pewni, że mamy do czynienia z apokryfem.

Udało mi się stelefonować tylko z Wieniawskim. Stwierdził autentyczność, ale naraził się tym wobec nas tylko na przypuszczenie, że i on do spisku należy. Nie dowierzałem, czy naprawdę jego głos słyszę. Dopiero o 5-ej telefonuje po raz drugi Sokal zawiadamiając, że na skutek wczorajszej odezwy gabinet Swieżyńskiego został rozwiązany, i prosi gwałtem o przyjazd raz już zapraszanych panów, objaśniając przy tym, że na pewno Daszyński, Moraczewski i Witos są w Lublinie. Jeszcze nie wierzyłem, mimo że dla rozpoznania przywołałem adiutanta regenta St. Rozstworowskiego, posiadającego typowy głos. Teraz zacząłem wierzyć, ale nic nie rozumiałem. Do reszty zaś uwierzyłem, ale i do reszty nie rozumiałem, kiedy mnie Swieżyński objaśnił, że to wszystko prawda i że on podpisał manifest rozwiązujący gabinet.

Robić krok rewolucyjny, nie przygotowawszy następców, w chwili gdy w połowie kraju firma tego rządu koniecznie potrzebna, podpisywać potem szorstki na siebie wyrok, to wchodziło w granice histerii, o którą tych ludzi podejrzewać nie mogłem. Niesłychany bo to był krok. Zrywanie znowu z Radą Regencyjną, dla której zewsząd budziło się uznanie jej suwerenności, ukłon pod adresem lewicy, która była odwrócona i do rozmów niegotowa, to zupełne głupstwo i lekkomyślność. Czułem drżącą rękę Chrzanowskiego i jego zdezorientowaną i od pewnego czasu rozwichrzona głowę. Okazało się potem, że on to wszystko narobił.

3-go przyszło dwóch panów z lewicy do Świeżyńskiego z projektem takiej odezwy. On ich odprawił z niczym. Niespodziewanie na wieczornej Radzie Ministrów projekt (taki) wypłynął od Chrzanowskiego, który nie wspomniał o nim Świeżyńskiemu i usposobił dlań przychylnie kilku ministrów.

Irytacja, że mają ręce przez Niemców związane, brak wyczucia, że w połowie kraju robota już rozpoczęta, nagliły ich do wybryku i do zrzucenia z siebie odpowiedzialności. Chrzanowski, który zawsze się otaczał socjalistami, a siły szukał zawsze w międzypartyjnych kompromisach, zapomniał, że kompromisy warte są czegoś, o ile pociągają za sobą natychmiastową realizację. Walcząc od lat dwóch z Radą Regencyjną zacietrzewił się w tym i ciągle myślał anachronicznymi kategoriami. Zdenerwowany i miękki, wpadł w zastawioną pułapkę.

Świeżyński także nieopatrznie i miękko ugiął się. Rozwadowski opowiadał mi potem, że odczytano mu odezwę z innym zakończeniem i że ani mu przez myśl nie przeszło, aby miała być ogłoszona przed przedstawieniem jej Radzie Regencyjnej. Dopiero gdy udał się do R.R. razem z ministrami dowiedział się, że równocześnie na ulicach sprzedają już odezwy. Był tym wzburzony. Ostrowski aż się zerwał i krzyknął. Świeżyński wtedy dopiero zrozumiał co zrobiono i od razu zaczął się sumitować. Zanosiło się prawie na aresztowanie ministrów. Na drugi dzień Chrzanowski myślał o nieustępowaniu. Wyobrażał sobie, że odezwą można za sobą narody szeregować.

Głupstwo! Świeżyński, jako od początku przeciwny, poddał się i podpisał. Cały projekt zamachu stanu spalił na panewce. Stworzył natomiast doskonałą równię pochyłą dla nowych a lepiej obmyślanych prób.

Śmigłemu powiedziałem o wezwaniu do Warszawy. Oświadczył mi, że tu ma niesłychanie ważne zajęcia, że innym panom o wezwaniu zakomunikuje, ale że wspomnianych trzech posłów w Lublinie nie ma. Telefonowałem po nich na ręce Roji do Krakowa.

5-go miałem zjazd komisarzy powiatowych, których poprzednio nominowałem. Aczkolwiek dla dobra administracji koniecznie wskazane było utrzymać na miejscu galicyjskich urzędników, jednak samodzielność i kompetencje powiatowych kierowników musiały teraz być znacznie rozszerzone. Od ich inicjatywy i oparcia w miejscowym społeczeństwie dużo musiało zależeć. Trzeba było dobrać ludzi tęgich, popularnych i mających znajomość roboty, do której byli wezwani. Udało mi się wynaleźć doskonały osobowy skład przeważnie miejscowych ludzi. Tymi tymczasowo trzeba było spełniać zadanie zarządu powiatowego do czasu przeflancowania urzędników galicyjskich, których na razie trzeba było trochę w cień odsunąć. Zbyt jeszcze przypominali ludności austriackimi mundurami minione świeżo chwile. Przykro mi było niejednego z tych Galicjan usuwać w cień za nowego komisarza, ale pozory prawne były, gdy wprowadzałem komisarza na miejsce ustępującego komendanta obwodu; wielu starostów odczuwało konieczność tego zarządzenia. Ci, co mieli cieńszą skórę, szczególniej. Ale byli tacy jak Godlewski w Lublinie, Gniewosz w Puławach, którzy robili z tego kwestię umniejszenia honoru i rangi. Szef rządu cywilnego generał-gubernatorstwa, Müller, nie wytaczał tych argumentów, ale czułem, że o nich myśli. Rozumiem, że sprawa rangi i zabezpieczenia pensji jest ważną, ale w tych chwilach, gdy człowiek ma uczucie, że ziemia pęka, przechodzi każdy goręcej czujący nad tym do porządku dziennego. Wspomnieć muszę z uznaniem starostę Seferowicza, który doskonale sprawę odczuł. Tak samo pp. Kozubskiego i Jampolskiego, który uznał za wskazane na dłuższy czas usunąć się z urzędu do wojska. Zjazd komisarzów powiatowych wzbudził we mnie otuchę, bo miałem odpowiednich ludzi na odpowiednich stanowiskach, ale dla wszystkich centrum dyskusji był stosunek do POW, która okazała się już wszędzie jedynym ramieniem egzekutywy i rządu. Żyjemy zaś w czasach, gdy głowa musi podążać za ręka, a nie odwrotnie, jak było dotąd.

Obawy wszystkich jednak rozproszył zaproszony na naradę komendant POW na okupację austriacką, major Burchardt-Bukacki, który, jestem przekonany, w najlepszej wierze dowodził: 1) że POW została wezwana do przysięgi i będzie włączona do regularnej armii, a do innych spraw odtąd nie wolno jej się mieszać, 2) że otrzymała wskazówkę, aby uznać władzę komisarzy rządowych, 3) że ma im wszystkie kasy zwrócić. Mówił to wszystko już po rozmowie swego osobistego przyjaciela Śmigłego z Rozwadowskim.

Rozwadowski bowiem tegoż dnia 5.XI. zjawił się nad ranem w Lublinie. Pierwszy się zgłosiłem do niego i zastałem czekających na rozmowę Śmigłego i Norwida. Przedstawiłem mu zobowiązanie zaciągnięte wobec Śmigłego i upoważnienie doń ze strony Świeżyńskiego. Uznał, że miałem rację

tak postąpić, ale że nominacja została już komu innemu dana, że (przyznanie tego stanowiska) wymagałoby podwyższenia go o trzy rangi, co jest wojskowo niedopuszczalne, i że on chce mu przeznaczyć rzeczywiście najwyższe stanowisko, bo chce go zrobić dowódcą siły zbrojnej czynnej na froncie wschodnim. Nie dał się przekonać, a ja oparcia o rząd rozwiązany już nie miałem. Prosiłem, aby w tej sprawie odniósł się jeszcze do Rady Regencynej. Zakomunikował jej o tym, że ci dwaj panowie u niego byli, ale zapatrywań swych wojskowych zmienić nie chciał. Oświadczył mi wreszcie, że z tym „dzielnym oficerem" się porozumie i da mi tego dowód.

O 10-ej asystowaliśmy razem przy defiladzie pod pomnikiem Unii wchodzącego batalionu legionów (Wehrmachtu). Ulica znowu wołała „niech żyje!". Potem zrobiła się mała manifestacja koło Rozwadowskiego. Ani jednej dysharmonii.

Na 10-tą zapowiedział się Rozwadowski do Śmigłego. Potem naznaczyli sobie spotkanie u mnie. Kiedy po dłuższej sam na sam rozmowie u siebie ich spotkałem, generał wstał i miał w bardzo oficjalnym tonie przemowę do Śmigłego, która stanowiła jakby epilog poprzednio omawianej już sprawy. Dziękował w niej Śmigłemu za stanowisko, jakiego się po nim spodziewał, za zrozumienie żołnierskiego obowiązku, i wyciągnął rękę. Rękę tę Śmigły bez żadnych zastrzeżeń podjął i oświadczył, że od służby na froncie nigdy się nie uchylał i że ją za najbardziej honorową uważał.

Wtedy ja oświadczyłem, że aczkolwiek widzę porozumienie, to jednak Śmigły może przypuszczać, że go wciągnąłem obietnicami, których nie zrealizowałem. Zrealizować nie mogłem ich wskutek zmiany rządu, ale mam prawo liczyć, że uznaje on moją dobrą wiarę i że gdyby uważał, żem względem niego zawinił, to stawiam do jego dyspozycji moje stanowisko, które miało mu gwarantować dotrzymanie obietnicy. Podał mi rękę z zapewnieniem, że co do mojej dobrej wiary ani chwili nie wątpi, zaś co do drugiej kwestii oświadczył, że jeszcze o tym pomówimy (bo parę osób było już przy nas). Ponieważ wieczorem miała być kolacja dla sztabu Rozwadowskiego, więc oświadczyłem: „Dobrze, dokończymy rozmowę wieczorem. Przyjdzie Pan?" - „Przyjdę".

O 6-ej Rozwadowskiego podejmowała rada miejska w komplecie, zastrzegłszy sobie tylko to, że politycznych przemówień nie będzie. Sam zrobił dobre wrażenie, ale towarzystwo generała, składające się z Franciszka Radziwiłła i Januszajtisa, wywołało wiele nieprzychylnych komentarzy.

O 9-tej, w chwili kiedy wychodziłem do klubu, otrzymałem kartę od Śmigłego, że przyjść nie może. Wobec tego i ja nie poszedłem, a na drugi dzień zażądałem przez Bukackiego dalszego ciągu rozmowy.

Rozwadowski tedy, nie widząc się ze mną więcej, choć sytuacja tego koniecznie wymagała, wyjechał, zostawiając jako naczelnego dowódcę poczciwego, ale absolutnie niezorientowanego gen. Olszewskiego. 6-go po południu przyszedł do mnie imieniem Śmigłego Lechnicki żądając, abym się podał do dymisji. Co uskuteczniłem.

Chcąc jeszcze zerwaniu, które uważałem za fatalne, zapobiec, zatelefonowałem wieczorem do

Wróblewskiego, przedstawiając powagę położenia i zapowiadając swoją dymisję. Zaznaczyłem mocno, że nie stoi ona w żadnym związku z dymisją i odezwą gabinetu, z którą nie mam nic wspólnego, a proszę tylko o ocenę sytuacji z punktu widzenia stosunku do Śmigłego. 6-go o godz. 1-ej jeszcze raz telefonowałem, ale otrzymałem tylko zapytanie, kogo bym wskazał na moje miejsce. Uważałem rozmowę za skończoną.

6-go przed wieczorem był u mnie Olszewski z Pasławskim. Obaj wyrażali zadowolenie, że tak pomyślnie załatwiona została sprawa pogodzenia Śmigłego z Rozwadowskim. Zaręczali, że Śmigłemu można wierzyć. To usypiało naszą czujność nawet wobec komunikatu, który się ukazał i który wzywał POW do organizowania i poparcia rządu narodowego.

Sytuacja wytworzona odezwą warszawską i dymisją gabinetu była próżnią, dla której bronienia nie wiadomo było za kim i w imię czego ludzi szeregować. Tę próżnię każdy śmiałek mógł zapełnić.

7-go rano o 6-ej wpadł do mnie Hołówko oświadczając, że jestem internowany i pilnowany. Obstawiono mnie strażą gen. Olszewskiego i szefa sztabu Pasławskiego. Zmuszono do przysięgi na nowo utworzony rząd oficerów warszawskiego batalionu nocujących poza koszarami. Ogłoszono proklamację nowego rządu i o 11-ej poddał się ze swymi oficerami batalion obstawiony karabinami maszynowymi ze strony POW. Nie wiadomo było, w imię czego narażać się na rozlew krwi. Cała sprawa tchnęła melodramatem.

Ogłoszono listę rządu z nazwiskami szeregu osób nieobecnych i operowano kłamstwem. O 11-ej, kiedy p. Hołówko przyszedł do mnie, aby zdjąć zakaz poruszania się, zapewniał, że wszyscy podpisani członkowie rządu są w Lublinie obecni i że wszyscy w utworzeniu współdziałali. [...]

Oczywiście bezpośrednią winę ponosi Rozwadowski, że rozbił próbę ugody, a przedtem wydał szereg nie obmyślanych zarządzeń, pośrednią gabinet Świeżyńskiego, który przez swoje usunięcie się zdezorientował ludzi i wytworzył próżnię po sobie, rozdwajając zarazem spójność naszej prawicy, ale winę główną widzę w całym naszym społeczeństwie. Społeczeństwo, w którym rej wodzić mogą ludzie publicznie i głośno kłamiący [...] w którym na czele i w poszanowaniu stać mogą ludzie, którzy składane przysięgi odrzucają jak brudną bieliznę, dowodzi wysokiego stopnia rozkładu. Przez cztery lata wojny garść ciągle tych samych ludzi, ale garść coraz bardziej się zmniejszająca, próbowała w kraju, który sam nie walczył, kierować siły i energię w stronę zagadnień ogólnych, spraw społecznych, rozwinięcia tej spójni wewnętrznej, której nam brakowało. Ale hufiec nasz coraz topniał i na wszelkich placówkach znajdowaliśmy się coraz bardziej osamotnieni i przepaść dzieląca sfery wyższe od niższych się zwiększała. Ogólne zmaterializowanie wytwarzało grunt, na którym hasła nienawiści i żądzy zysku do szerszych mas łatwo trafiają.

Ale winę, przyznaję, ponosimy i my, wszyscy kierownicy. Nie rozumieliśmy dostatecznie, że sprawa rządu to jest sprawa siły fizycznej, i tej siły sobie nie przygotowaliśmy. Prawda, że tłumaczy nas w części to, żeśmy byli zajęci załatwianiem spraw realnych, które nam cały czas zajmowały i

zarazem narażały nas w opinii; w pracy widziano nas w urzędach i obok mundurów austriackich - ale można było te rzeczy połączyć. Ludzie będący w opozycji mieli łatwość zdobycia popularności, czyhając na chwilę sposobną dla siebie. Wreszcie ponosimy i tę winę, że sami - przyznaję - za małośmy odczuwali, że zbliża się koniec tej wojny, że ona sprowadzi ogromne przewroty wewnętrzne, i nie forsowaliśmy dostatecznie pewnych reform w stosunkach rolnych i służbowych, które w czasie wojny, wytwarzającej większą podaż rąk (do pracy) na wsi, w gorsze stosunkowo położenie stawiły pracownika wiejskiego. Za małośmy na te rzeczy nacisku położyli.

Ale to można by zakwestionować. Słowa Taine'a, że rewolucja wybucha wtedy, kiedy wiszą w powietrzu reformy, są wielką mądrością. Wojna ta musiała rewolucję za sobą pociągnąć i wszystkie zaczątki reform rachujących się tylko z ewolucją nie są dla niej niczym, jak równią pochyłą. Niemniej pozostanie zawsze pytanie: „A nuż byłoby inaczej...?”

Lublin, 9.XI.1918.

(Kolejny, 4-ty zeszyt obejmuje notatki od dnia 22.X.1918, które do dnia 8-XI.1918 redagowała żona autora dziennika, p. Aniela Zdanowska, po czym począwszy od 8 listopada redaguje je dalej, aż do końca, autor dziennika.)

Poniedziałek, 11.XI.1918

Był u mnie dziś rano inż. Rogowicz, członek grupy Zjednoczenia Demokratycznego (Sokal, Patek, Paschalski), należącej do komisji porozumiewawczej stronnictw „niepodległościowych”. Grupa ta nie weszła do tutejszego rządu. Jak się okazuje, z jej ramienia Sokal w porozumieniu z Radą Regencyjną chcą coś skleić. Telefonował do mnie 4.XI. nawołując Śmigłego i obecne jego otoczenie do powrotu do Warszawy. Konspiracja była więc, jak się okazuje, i przed nimi. Objaśniłem go (scil. Rogowicza) o stosunkach w mniej optymistycznych kolorach, jak to uczynił, jak widzę, Thugutt.

Piłsudski przyjechał do Warszawy 9.XI. Zabrał go Lubomirski i długo z nim konferował. Podobno P. jest fizycznie złamany, tak że na konferencji zemdlał.

Stąd posłano do niego dwóch oficerów, aby go tu przywieźć. Scysje między milicją obywatelską a wojskiem dają się wyczuwać. Wojsko jednak, obsadzone przez konspirację peowiacką i nie orientujących się w niciach pajęczych „czystych wojskowców”, będzie ulegać. O ekspedycji lwowskiej nie słychać, choć w odezwie do Lwowa szumnie ją zapowiadają. Kontakt z nim (scil. wojskiem) coraz trudniejszy. Jednych znajomych usuwają ze sztabu, drugich z Lublina. Otoczenie trzyma w garści Śmigłego, który poniesiony ambicją.

Z rozporządzenia ministra spraw wewnętrznych wyłączono dziś mój telefon. Otrzymałem

jeszcze dziś urzędowe listy z 9.XI. z Kielc i Miechowa. Nic nie orientują się tam jeszcze o dokonanym przewrocie. Komisarze nasi jeszcze funkcjonują. Tak samo komisarzowi w Sandomierzu do wczoraj nie odebrano oficjalnie władzy.

Członkowie rządu, tak jak z początku z podpisami, tak łżą na każdym kroku. Dziś jeszcze Thugutt opowiadał, że oczekują na przyjazd jeśli nie Piłsudskiego, to przynajmniej jego szefa sztabu, Sosnkowskiego; tymczasem w chwilę potem Śmigły mówił memu sekretarzowi, że nikt nie przyjedzie i dlatego on i Daszyński wybrali się po południu do Warszawy. Boczne informacje mówią, że rząd czuje się słabo. W kasie głównej już podobno tylko 1.300.000 koron. O zdobyciu innych pieniędzy szczęściem rząd nie poinformowany i chodzi o to, żeby się nie poinformował. W magazynach wojskowych brak głowy i dozoru. Na prawo i lewo idą zapasy, mundury, rynsztunki, bez kontroli i dozoru, do czego brak zupełnie ludzi odpowiednich. Ogół przerażony i poddaje się. Uchwał Klubu (Klubu Polskiego, politycznie konserwatywnego), które żądały rządu ogólnonarodowego, zebranie klubu uchwaliło nie ogłaszać.

Inż. Szpakowski, któremu dałem nominację do zarządu wydziału budowli, był dziś u „wiceministra" Januszewskiego. Ten potwierdził jego nominację i zapytywał, że „Pan miał pewnie większe zaufanie do poprzedniej swojej nominacji jak do obecnego rządu".

Ogłoszono dziś druzgocące warunki zawieszenia broni podyktowane Niemcom. Przerażające dla nas wymaganie oddania 150.000 wagonów. Gotowi je od nas wycofać; a tu potrzeba ich tyle dla wywożenia jeńców. Koalicja wymaga cofnięcia się do granicy przedwojennej. O Poznaniu mowy w tym nie ma. Ci ludzie tam też sporo wycierpią. Urzędnicy austriaccy wymykają stąd do Warszawy. Liczą, że tam inny rząd powstanie i że ich tam będą potrzebować. Raut u nas od 4 dni nieustający. Całe popołudnia drzwi się nie zamykają. Śliwiński, Steccy, Fudakowscy, Starzewski, Jampolski etc.

12.XI.1918, wtorek

Gazety przyszły z Warszawy. Wiedzą tam już o Krakowie i stanowisku Witosa. Daszyński złożył w ręce Piłsudskiego decyzję co do losu swego gabinetu. Odbywa się wokół Piłsudskiego szalony taniec. Co on zrobi ze złotym rogiem?